

Noc Betleemska.

Sam sobie jestem winien, że zmarnowałem życie, że w pustce i samotności schodzi reszta moich dni. Mogłem mieć własny dom, własne ognisko, mogłem w kółku własnej rodziny zasiąść do wili. Włosy

Trzasnąłem drzwiami i poszedłem na miasto. Nie będę jeść żadnej wili. Śmieję się z głupiego przesądu, jakoby z nieparzystego towarzystwa do wili siadającego, miał ktoś w nadchodzącym roku umrzeć, a jednak jest mi głupio, samemu się postną wieczrą raczyć. Co? Wezmę do rąk opłatek i pójdę do ściany: połamże się ściana ze mną. Ty, ściana zimna, połam się ze mną... Tfu!

Wstąpiłem do kasyna. Aż radość patrzeć, jak rojno i gwarno. Sześć stolików z wistem, taka masa partnerów się zgromadziła. Wszyscy mężowie uciekli z domu, bo całe mieszkania zawalone placzkami, tortami, mazurkami, salony pozamykane, bo tam w tajemnicy przed dziećmi mamusia i ciocie pomagają aniołom przynieść drzewko. W kuchni i koło kuchni istne piekło, bo teraz struclę pchają do pieca i ryby smażą.

Z radością siadłem do wista w kółeczku dobrych znajomych.

Na dworze zaczęło się ściemniać.

— Co to?

Jeden i drugi rzuca karty...

Jakby na komendę wszystko resursę opuszcza, jakby się ludzie zmówili, żegnają się i rozchodzą na wszystkie strony świata.

W kwadrans zostałem w kasynie sam. A prawda, został służący. Patrzył na mnie długo, jak w tęczę, patrzył, kręcił i wiercił się, przystąpił wreszcie do mnie nieśmiało i rzekł:

— Z przeproszeniem pana wielkiem, jabym chciał zamknąć.

— Co zamknąć? Kasyno? W statucie jest napisane, że codzień ma być otwarte do dziesiątej w nocy.

— Tak, ale dziś święta wilia, przecie ja katolik...

Wyniosłem się z resursy i poszedłem do cukierni. której okna jaskrawem światłem na rynku błyszczały.

Pełno w nich figurek z cukru, złożonych orzechów, koszyków z pomadkami i „włosów anielskich“, które się na drzewka wieszają. Na środku stoi choinka, jarko płonąca świecami, kręcąca się automatycznie ku wielkiej uciechu gawiedzi.

W cukierni pusto. Żywej duszy niema. Chłopak w białym fartuchu chowa do kosza resztki niesprzedanych cukrów świątecznych. Schowa pewnie piernikowe aniołki na przyszłoroczne drzewka.

— Proszę herbaty.

— Herbata raz! — sygnalizuje chłopak kucharcze.

Zabrałem ze stołu stos dzienników, aby przeczytać bieżące artykuły polityczne. Zauważyłem, że chłopak patrzy na każdą łyżkę herbaty, którą biorę do ust. Gdy wypię herbatę i rozsiadłem się lepiej na kanapie, aby przejrzeć ilustracje, chło-

pak wyszedł do drugiego pokoju i rzekł do cukiernika:

— Zaczyna czytać gazety. Nie myśli, zdaje się, iść. Co chwila z sąsiedniego pokoju wychylała się



siwieją na głowie, a ja żyję na świecie sam jeden, jako żdźbło żyta, które zeszło na ugorze.

Zapraszano mnie na wilię do kilku domów, nie pójdę jednak nigdzie. Nie pójdę przede wszystkim, że wzywano mnie głównie, aby nieparzysta ilość osób nie siadła do wilijnego stołu. Niechże sobie sprawią manekina, aby im był do pary. Ja nie jestem numerem, tylko człowiekiem. Zezłościł mnie po prostu radca ze swemi zaproszeniami. Wygadał się publicznie z tem, że dlatego mię w domu przyjmuje, bo się spodziewa, że ja jego dzieciom majątek zapiszę. Jak pójdę do niego, to oni czekać będą, żeby mnie apopleksja podczas wieczery ruszyła.

Sześćdziesięcioletnia gospodyni moja rzekła dziś popołudniu:

— Wszystko w rurze będzie ciepłe. Ma tam pan zupę rybną z uszkami, karpia smażonego, paszteciki z grzybów, lina duszonego w kapuście, w szafie zaś jest majonez z szczupaka na zimno. Na stole leży strucla i opłatek. Klucz od szafy zostawię na biurku.

— Jakto pani zostawi? Przecie zwyczajem staroświeckim zjesz pani razem ze mną wilię!

— Nie panie, ja jadę. Jeden dzień w roku mogę mieć wolny. Ja się z wilią nie godziłam. Jadę do dzieci.

— Taak?! Ano to jedź sobie pani do trzysty dyabłów.



jakaś głowa i patrzała na mnie. Cukiernik, potem cukierniczka, potem cały personal sklepowy...

Głosy mię dolatują:

— Żeby go choroba... siedzi.

— Poczekam jeszcze, a potem na nim wyjadę.

— Bo żeby jeszcze co pił, to nie mówię... Ale co mi tam herbata...

— Dyrektor, jak przyjdzie, to da zarobić.

— Co drugi dzień kupi sobie taką małpę, że go wynoszą.

— Porządny człowiek, z niego jest profit.

— Inżynier wypię wczoraj pietnaście koniaków.

— Liczyłeś mu za dwadzieścia pięć.

— Cicho bądź.

— Nie będę cicho, bo to ludzi zraża. Inżynier to wczoraj zauważył: „Pani dobrodziejo — mówił do mnie — jak na te piękne pieniądze, to ja mam stanowczo za małą śrubę. W głowie czuję co najwyżej ośmnaście koniaków, a nie dwadzieścia pięć“.

— Porządny człowiek, da żyć, da zarobić.

— A ten, co tam siedzi, nie mógłby się to był za młodu ożenić i żyć, jak człowiek?

— Cymbał.

— Idźno zobacz, czy się nie wynosi?

— Ale nie, siedzi.

— Chłopak, zamiatać.

Wyszedł chłopiec do sali i zaczyna miotła szastać po podłodze. Proch, kurz, ogryzki z papierosów, opaski z gazet, strzępki bibuły latają w powietrzu.